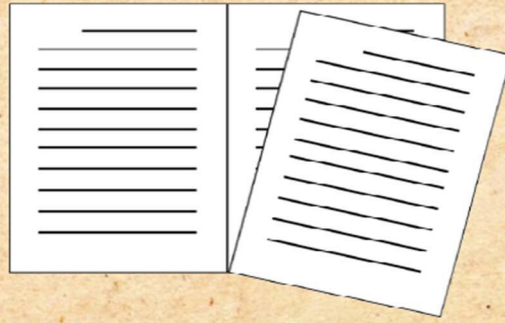




W. Winiarski



W woluminie kolejno współprawne sygnatury:



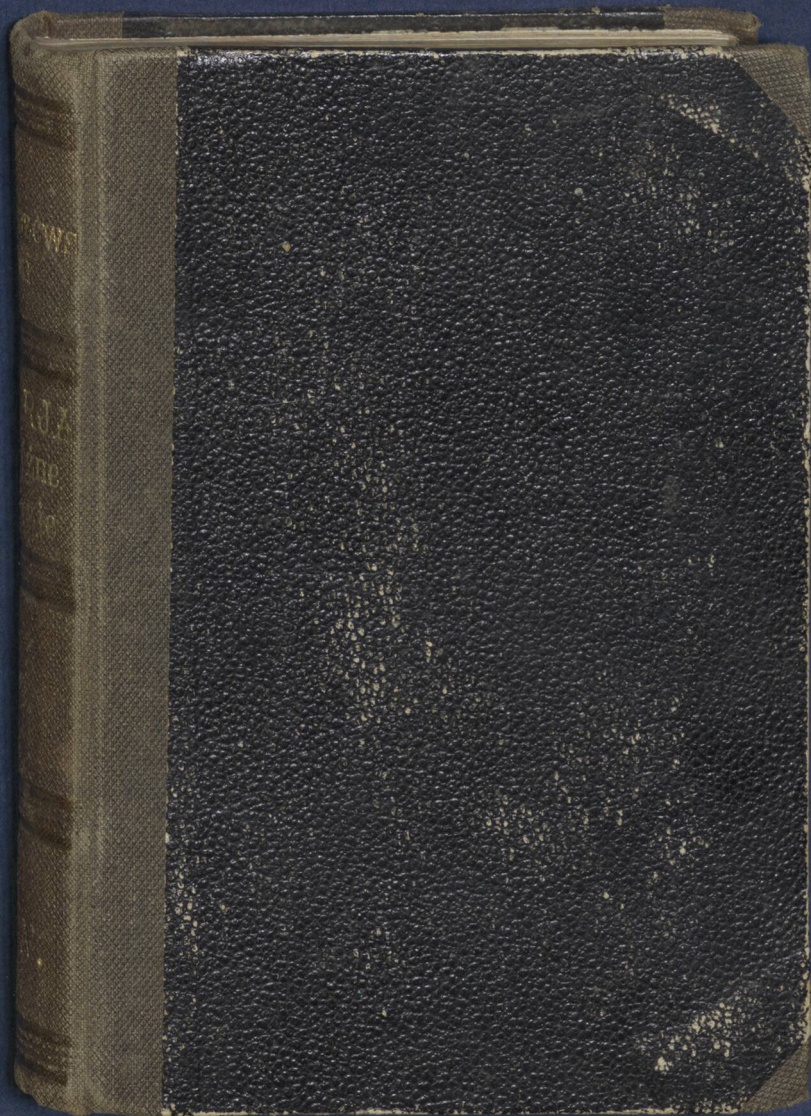
1949290 I

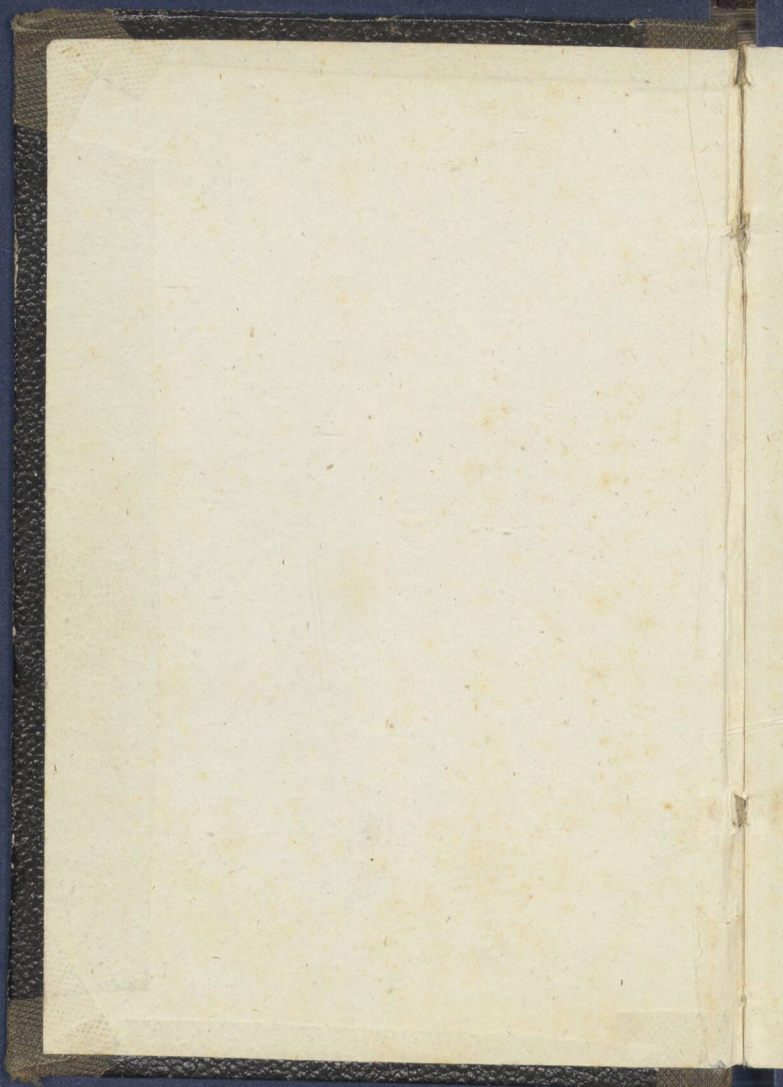
1949291 I

1949292 I

1949293 I

1949294 I





ESTABLISHED 1847
INDEPENDENT PRESS

NEW YORK, N. Y.

Lawrence

ESTABLISHED 1850
THE BOSTON
BY THE LONDON



MARJA

A. Malczewskiego.



W. Winiarski

1423 045

MARIA.



POWIEŚĆ UKRAIŃSKA

przez

Antoniego Malczewskiego.



POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1862.



1949290 1

Poznań, czcionkami M. Zoerna.

MARJA.

POWIEŚĆ UKRAIŃSKA*)



PIEŚŃ I.

Wszystko się dziwnię plecie
Na tym tu biednym Świecie:
A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.

Jan Kochanowski.

I.

Ej ty na szybkim koniu gdzie pędzisz kozacze?
Czyś zaoczył zającą, co na stepie skacze?
Czy rozigrawszy myśli, chcesz użyć swobody,
I z wiatrem ukraińskim puścić się w zawody?
Lub może do swój lubój, co czeka śród niwy,
Nucąc żalosną dumkę lecisz niecierpliwy?
Bo i czapkęś nasunął, i rozpuścił wodze,
A długi tuman kurzu ciągnie się po drodze:
Zapał jakiś rozżarza twojej twarzy śniadość,
I jak światełko w polu błyszczysz na jej radość;

*) Powieść ta osnuta jest na rzeczywistém zdarzeniu zaszłém około r. 1771 między familią Jakóba Komorowskiego kasztelana santockiego a Franciszka Salezego Potockiego wojewody kijowskiego, którego syn Stanisław Potocki starosta bełzki pomimo woli ojca pojął był za żonę córkę rzeczzonego Komorowskiego. Dumny wojewoda kazał swą synową uwieść a w drodze ją utopiono.

Gdy koń, co jak ty, dziki, lecz posłuszny żyje,
Porze szumiący wicher wyciągnąwszy szyję.
Umykaj Czarnomorcu! z swą mażą skrzypiącą —
Bo ci synowie stepu twoją sól roztrąca.
A ty czarna ptaszyno, co każdego witasz,
I krążysz, i zagładasz, i o coś się pytasz,
Spiesz się swą tajemnicę odkryć kozakowi —
Nim skończysz twoje koło, oni ująć gotowi.

II.

Pędzą — a wśród promieni zniżonego słońca,
Podobni do jakiegoś od niebianów gońca. —
I długo, i daleko słysząc kopyt brzmienie;
Bo na obszernych polach rozległe milczenie;
Ani wesolej szlachty ni rycerstwa głosy,
Tylko wiatr szumi smutnie uginając kłosa,
Tylko z mogił westchnienia, i tych jęk z pod trawy,
Co spią na zwiędłych wieńcach swojej stariej sławy.
Dzika muzyka — dziksze jeszcze do niej słowa,
Które duch dawniej Polski potomności chowa —
A gdy cały ich zaszczyt krzaczek polnej róży,
Ach! czyjesz serce, czyje, w żalu się nie nuży?

III.

Minął już kozak bezdnie i głębokie jary,
Gdzie się lubią ukrywać wilki i Tatary;

Przyleciał do figury (co jój wzgórek znany,
Bo pod nią już od dawna upiór pochowany),
Uchylił przed nią czapkę, żegnał się trzy razy,
I jak wiatr świsnął stepem z pilnemi rozkazy.
I koń rześki, żadnym się urokiem nie miesza,
Tylko parsknął i wierzgnął i dalej pospiesza.
Ciemny Boh po granitach srebrne szarfy snuje,
A śmiały wierny kozak myśl pana zgaduje —
Szumi młyn na odnodze, i wróg w łozie szumi,
A żwawy wierny konik kozaka rozumie —
I przez kwieciste łąki, przez ostre bodiaki,
Lżej się nie przesuwają pierzechliwe sumaki;
I jak strzała schylony na wysokięj kuli,
Czai się zwinny kozak, do konia się tuli;
I przez puste bezdroża król pustyni rusza —
A step — koń — kozak — ciemność — jedna dzika dusza.
O! któż mu tam przynajmniej pohulać zabroni?
Zginał — w rodzinnym stepie nikt go nie dogoni.

IV.

Ruszaj, ruszaj kozacze — pospiech nakazany;
W starym wyniosłym zamku nie małe odmiany;
Pan wojewoda z synem od dawna w rozprawie,
Długo teraz rozmawiał, — i bardzo łaskawie;
A jednak — żywe były urazy i zwady,
Zatruta serc pociecha, zniszczone układy,

I łzy czulej rozpaczy i pychy zapachu
Płynęły — często — gorzko — ale bez podziału.
Już inaczej w tym zamku — znikły niesmak, żałość,
Jaśniej grzecznych pański, naddziadów wspaniałość;
Już wśród licznych dworzan i służby orszaku,
Grona paziów, rycerzy domowego znaku,
W okazałe komnaty, długo niewidziany,
Zeszedł pan Wojewoda bogato przybrany;
A gdy każdy to szczęście usiłował głosić —
Zdawał się więcej synem niż chlubą unosić.
W spokojnych jego rysach trudno poznać znamię
Głębokich wewnątrz uczuć; tylko dzielne ramię —
Świetna mowa, dla ludzi — imię znakomite —
Co w sobie, to na zawsze dla wszystkich ukryte:
Lecz teraz, czy z potrzeby, czy w nagłym wzruszeniu,
W pieśczętach dawał ulgę długiemu cierpieniu;
I gdy w cichości z synem sprawę jakąś waży,
Widocznie — uśmiech igrał na poważnej twarzy;
A w oczach się mignęła szybka dzika radość,
Jak kiedy długim chęciom już się staje zadość,
Jak gdy w trudzącym biegu i myśli ucisku
Spocznie kto już na chwilę — choćby na mrowisku.
Spocznie? — oh! może tylko czoło pałające
Położy, gdzie go żądeł czekają tysiące.

V.

Do późnej nocy w zamku zgiełk i tentent trwały,
Do późnej nocy trąby i wiwaty grzmiały.

Dawny wrócił obyczaj, wspaniała ochota,
Długie się stoły skłniły od srebra i złota;
I loch pański jak serce zdawał się otwarty —
A stary węgrzyn płodził nie bez duszy żarty;
I godząc huczne tony z wesołym hałasem,
Muzyka z swą melodyą przebiła się czasem.
Do późnej nocy twarze — ostre — malowane —
Przodków w długim szeregu zebranych na ścianę,
Zdały się iskrzyć nieraz martwemi oczami,
I śmiać się do pijących — i ruszać wąsami.

VI.

W ustach mieszka wesołość, w oczach myśl zgadnienia,
W głębi to, w głębi serca robak przewinienia;
A gdy jaka uciecha razem ludzi zbierze,
I Pycha i Pochlebstwo śmieją — się nieszczerze.
Może tak w dawnym zamku — bo w rznięte podwoje
Już noc zaprowadziła ciemne rządy swoje;
Już uciehli surmacze; Sen szczęścia osłania;
I puszczyk z wieży zaczął grobowe wołania;
A jeszcze — w boczném skrzydle obszernej budowy,
Gdzie dzielny Wojewoda wzrok orli, surowy,
Pomarszczoną powieką w ustroniu przyciska,
Jak w jaszczur kryją kamień, którym duma błyska —
Jeszcze stuk chodu słyszać — lub ciężkie westchnienia
W przerwaném tępotaniu wracają sklepienia.

Nikt tam nie zawołany wnijść się nie poważy —
Tam jego myśl ukryta samotnie się żarzy —
Tam może brnąć już w rozpacz: — w niezwyklej niemocy
Depce burzliwym krokiem po ciemnościach nocy,
Jakby w jój czarném tchnieniu chciał gdzieś znaleźć rękę
Krawej zgubnej przyjaźni — lub zgasić swą mękę!
I gdy z gorących oczu sen trwożny odlata,
I gdy mu duszną była wysoka komnata,
Otworzył wąskie okno — patrzył czas niejaki
Na swoje liczne hufce, rozwinięte znaki,
Co się do nakazanej zbierały wyprawy;
Słuchał budzącej trąby i wojennej wrzawy.
Prychają ręce konie, brzęczą w ruchu zbroje,
Szumią skrzydła husarzy, chcą lecieć na boje.
Dla nich wstające słońce w różowej pościeli
Blaskiem złotych warkoczy widokres weseli,
I wznosząc świetne czoło, najpierwszém spojrzeniem
W lśniącej stali swe wdzięki postrzega z zdziwieniem;
Dla nich pachnący wietrzyk, co swój oddech świeży
Dmucha na włosy dziewic i pióra rycerzy;
Dla nich gwar małych ptasząt, w żywěj słodkiej nucie,
Co z mokrych rosą dziobków wyrzywa uczucie: —
Nie dla niego — on nie chciał na widoku zostać —
W niknących cieniach zamku zanurzył swą postać,
Jak te straszące mary, które bojaźń nasza
Widzi w bezdenniej nocy — poranek rozprasza.

VII.

Dano znak — wrzasły trąby — szczękneły podkowy —
Mężnego towarzysza wierny szeregowy
Jak cień nie odstępuje — i szybkim obrotem
W ciasną gotycką bramę suną się z łoskotem.
Zagrzmiała długiém echem do sklepienia drżąca —
Aż łagodniejszą ziemię lżej kopyto trąca;
I ciszej, ciszej brzęcząc — już słabo — z daleka —
Głuchy dochodzi odgłos i coraz ucieka.
Dopiero to na polu — gdzie ogromne koło
Wytoczyło już słońce — bujają wesoło,
I pstrym swoim proporcem nim sławy dostąpią,
W żywych strumieniach światła jak orły się kapią.
Tysiące piór, kamieni, w blask, w farby się stroi,
Tysiące drobnych tęczy odbija się w zbroi;
A na ich bystrych oczach siedziało Zwycięztwo,
A na ich serc opoce kwitły Wierność, Męztwo,
A na czele tych szyków wyniosły młodzieniec.
Lecz któż on? jakiż chwały czy szczęścia rumieniec
Lniane chcą cienie włosy? oh! milszy sto razy,
Niż różowe porankiem natury obrazy,
I słodszy i jaśniejszy od chwały połysku
Ten blask — co w jego serca żywi się ognisku,
Ten uśmiech — w którym może choć część zachwycenia,
Z jakim wybrani słyszą Cherubinów pienia.
Na lotnym jechał koniu — i nad jarów brzegi
Poprowadził w porządku milczące szeregi;

Znikli w zarosłą przepaść — aż krążąc parowy,
Jeszcze raz świetne z krzaków ukazali głowy.
Jakiś na wzgórkę rozkaz młodzieniec dał znakiem —
I poszli, poszli drogą za żwawym kozakiem,
Którego lekkie ślady od kopyt bez stali
Wietrzyk z rosą, jak dzieci, piaskiem przysypali.

VIII.

I ciche, puste pola — znikli już rycerze,
A jakby sercu brakli, żal za nimi bierze:
Włóczy się wzrok w przestrzeni, i gdzie tylko zajdzie,
Ni ruchu nie napotka, ni spocząć nie znajdzie.
Na rozciągnięte niwy słońce z kosa świeci —
Czasem kracząc i wrona i cień jój przeleci.
Czasem w bliskich burzanach świerszcz polny zaświerka,
I głucho — tylko jakaś w powietrzu roztérka.
To jakże? Myśl przeszłości w tój całej krainie
Na żaden pomnik ojców łagodnie nie spłynie,
Gdzieby tęsknych uniesień złożyć mogła brzemię?
Nie — chyba lot zwinąwszy zanurzy się w ziemię:
Tam znajdzie zbroje dawne co zardzałe leżą,
I koście, co nie wiedzieć do kogo należą.
Tam znajdzie pełne ziarno w rodzajnym popiele
Lub robactwo rozległe w świeżem jeszcze ciebie;
Ale po polach błądzi nie sparkszy się na nic,
Jak Rozpacz — bez przytułku — bez celu — bez granic.

IX.

Pod staremi lipami Miecznik dumał stary,
I dźwigał w zwiedłej głowie utrapień ciężary.
Chociaż ten czarny żupan smutny przy siwiznie,
Nosił i jasne barwy, gdy służył ojczyźnie —
Ojczyźnie! której imie wśród boju i rady,
I spornego wyboru i hucznej biesiady
Czystym gorzało ogniem — a serce, jak w wiosnie
Ptak do słońca, do niego skakało radośnie!
Ale czas świetnych uczuć już ściemniał — ej! minął,
I boli tylko życie, a kwiat jego zginął.
Dumał — i przez złe żale, obecne zgryzoty,
Pokrył kir nieprzebitą grożącą sromoty.
O! póki tchu przynajmniej, tak łatwo i marnie
Płomień zawziętej pychy gniazda nie ogarnie!
O! póki czarny żupan żywe członki ciśnie,
Wyschła ręka w potrzebie starą szablą błysnie!
Lecz potem? — dumał Miecznik i wzrok wodził hardy,
Pełen niechęci — gniewu — a może i wzgardy.

X.

Przy nim młoda niewiasta — czemuż, kiedy młoda,
Tak zamglonym promieniem świeci jej uroda?
Ni ją ubiór udatny, ni ją stroją kwiaty,
Czarne oczy spuszczone i żałobne szaty;

A w twarzy smutek, czoło co schyla w cichości,
Którego całym blaskiem — uśmiech cierpliwości!
Lub jeśli kiedy nagle, w pośród gestych cieni,
Jaka myśl czy pamiątka jój lica zrumieni,
To tak mdłym, bladym światłem, jak gdy księżyc w pełni
Niezwykłym życiem rysy posągu napełni.
Piękna, szlachetna postać — do Aniołów grona
Dążyła, ich czystości czarem otoczona;
Ale trawiący oddech światowych uniesień
Owiał pąg młodych uczuć i zwarzył jak jesień.
To jeszcze jest na drodze, gdzie nią wicher miota.
W ciężkich kajdanach ziemi dla nieba istota;
Serce nosi uschnięte, a świeci jak zorza,
Podobna do owoców Umarłego Morza,
Pod których śliczną farbą, śród trudu, mazoły,
Podróżny widzi nektar, — znajduje — popioły.
Jakaś posępna słodycz w jój każdym ruszeniu.
Ani łzy, ani żalu, w jój mglistym spojrzeniu;
O! nie — przeszłych już zgryzot nie widać tam wojny,
Tylko znikłej nadziei grobowiec spokojny,
Tylko się lampa szczęścia w jój oczach paliła,
I zgasła, — i swym dymem całą twarz zaćmiła.

XI.

Przy nim młoda niewiasta nad księgą Żywota,
Jak trwożna gołębicą, pod jasności wrota

Wzbiła ducha wiary, i skrzydły drżącemi
Szukała swego gniazda daleko od ziemi.
A że nad przepych świata i blasków pozory
Widoczniejsze pióra białe zniżonej Pokory,
I drży nieć, którą serce do nieba związane;
To kropla słodkiej rosy upadła w jej ranę.
I wznosząc w górę oczy z tym tklwym wyrazem,
W którego jednym rzucie wszystkie czucia razem,
Gdzie Przyszłość do Przeszłości po jasnym promieniu
Biegnie jak czuła siostra łączyć się w spojrzeniu —
I wznosząc w górę oczy — doznała — jak lubo
Rozbłąkaną w swym żalu swego szczęścia zgubą,
Gdy już z ziemskich i chęci i strachu ochłodziła,
Tęsknić szlachetnej duszy do swojego źródła!
Jak miło by nie wadzić w światowym zamięcie,
Zniknąć — na zawsze zniknąć pod Śmierci objęcie!
A ktoby widział wtedy jej twarz promienistą,
I smutnego Miecznika duszę przejrzał czystą,
Te lipy rosochate — starodawne stroje,
Których dla wyobraźni tak przystoją kroje;
A ktoby widział jeszcze jak jasność i wonie
Męczeńskim wieńcem nagle oblekły im skronie: —
Oh! może się przenosząc w odleglejsze wieki,
Świetniejsze okolice, kraj sławny, daleki,
Nad brzegami Jordanu, pod palmy drzewiną,
Usiadłby zamyślony z hebrajską rodziną,
I w spółnictwie niedoli czując trwogę świętą,
Poznał — też samą rękę, wieczną, niepojętą,

Co swe łaski i kary zsyła lub odwleka,
Też same zawsze troski wygnańca, człowieka,
Któremu nawet w szczęściu jeszcze czegoś trzeba,
I tylko wtenczas błogo — gdy westchnie do nieba!

XII.

„Ojczy! ja nazbyt długo, w miłych myśli kole,
„Obłąkałam się dzisiaj — a na twojem czole
„Ciemne następstwo zgryzot zawsze się przebija;
„A kiedy radość mignie, to zaraz i mija,
„Jak promyk co z obłoków na wyniosłe góry,
„Błyśnie — i znów go skryją wiatrem gnane chmury.
„Oh! czemuż już nie spocznie twoja głowa siwa —
„Tu — na łonie? — nie bój się — teraz żal nie spływa
„Jak wtedy, coś w mych rękach usnął zmordowany,
„I wstał, schylonęj córki łzami zapłakany!
„Sroga nieszczęście igraszka: — i tak żółkły parosć
„Popsutym karmił sokiem swego dębu starość;
„I tak zaparte czucia długim uciśnieniem,
„Rwąc tamę méj rozwagi, lały się strumieniem.
„Ah! jakże to boleśnie nazad się obrócić,
„Widzieć Rozpacz grożącą, i nie módz się wrócić
„Ah! jakże to okropnie w przymusie zostawać,
„Ręką, co chce lekarstwo, truciznę podawać,
„Ojczy! drogi mój ojczy! czyż już żadnej chwili
„Nigdy ci twoja córka, nigdy nie umili?

„Gorzka jęj była dola — ale to już przeszło;
„Patrz jakie słodkie światło we mnie się rozeszło;
„I uśmiech biega w twarzy niż kiedy zabawniej,
„I twój pragnie obudzić — jak wszczęściu — jak dawniej.
„Nieraz ja sobie wspomnę te dziecinne lata,
„Tak lubę! tak ulotne! i mojego tata,
„Jak czasem zasępiony po trudach spoczywa;
„Aż raptem u dziewczynki wesołość się zrywa,
„I wciska mu się w serce — powoli — nieznacznie —
„Póki się nie rozjaśni i śmiać się nie zacznie.
„I gdzież to się podziąła téj dziewczynki władza?
„Pierwój zganiała chmury, a teraz sprowadza;
„I gdzież to żywy, czysty strumyczek upłynął?
„Mruczał na swą nikczemność, a w jeziorze zginął,
„A nasz śliczny kanarek gdzież to się obraca?
„Chciał w ogniu piórka złocić i więcój nie wraca.
„O! póki ten co w mojem na zawsze był sercu
„Nim go moim nazwałam na ślubnym kobiercu —
„O! póki ten, co jemu w uczucia się wplatać,
„Brzmieć w szlachetnych pomysłach, w westchnieniach ulatać,
„W spojrzeniach czuć się światłem i życia potrzebą,
„Było więcój niż szczęście, było dla mnie niebo —
„Ten, co pączek tkliwego, lubego marzenia,
„Rozwinął swoim wdziękiem, ocucił z uspienia,
„Pił jego świeżą rosę, a na jego kwiecie
„Zostawił lżę wdzięczności, którój czas nie zmiecie —
„O! póki ten mój miły, ten świat mojej duszy,
„Łańcucha naszych węzłów swą wżgardą nie skruszy,

„Wierny zostanie cnocie, miłości, pamiątkom,
„A gdy znikł pałac szczęścia, wierny jego szczątkom;
„Jeszcze się dla mnie życia nie zamknęło wieko,
„Jeszcze myśl jego o mnie, chociaż on daleko,
„Płynąć będzie tajemnie w umarłe uczucia,
„I jak cudowny balsam bronić od zepsucia.
„I tę straszną ofiarę — i to rozdzielenie —
„Zniosę — cierpliwie zniosę — póki nasze cienie
„W słodkich, czystych krainach złączone na zawsze,
„Ludzi już nie zobaczą, lecz niebo łaskawsze!“
Rzekła — i jak w stojącej a popsutej wodzie,
Wzruszone nagle męty osiadły na spodzie,
Z serca jęj wyszły czucia co w łzach długo mokły,
I zielonym odcieniem jęj bladość powlokły.
„Wolałbym dźwigać więzy u brodacza Turka,
„Niż żeby mi tak marnie wędnieć miała córka,
„Wolałbym w ciemnej turmie pewnej czekać zguby,
„Niżli patrzeć spokojnie na te smutne śluby!
„Alboż to w naszej Polsce braknie na młodzieńcach,
„Co to pannom umięją wyskoczyć w rumieńcach,
„I tak jak dawniej było — rycerskie kolano
„Raz w życiu tylko ugiąć — po wianek, za wiano!
„Nie Marjo! nie trza wdychać — twego nie obrażam:
„Mężny jest i cnotliwy — wiesz że go poważam;
„Lecz mnie jego rodzica pycha niecierpliwi —
„A kiedy łzami Marji swoje serce żywi,
„Ha toć i u mnie szabla nie czczym tylko blaskiem,
„I mignie mu pod oczy święconym obrazkiem.

„Taż to u naszej szlachty dawne przywileje,
„Skrzesać ognia w pałasze, gdy Przyjaźń ściemnieje —
„Przyjaźń? a nasze hufy nie z sobą na sejmie,
„A nasze *veto* krzyczy jeszcze i w rozejmie!
„I gdyby kraju napaść, z Hetmanem umowy,
„Nie rzuciły mnie wówczas Szwedowi na głowy!
„I gdyby twoja Matka (daj jój niebo Panie!)
„W swe rańtuchy nie skryła młodych serc kochanie,
„A niewieścim w błyskotkach, tajemnicach, smakiem
„Nie zawarła tych związków z swych matron orszakiem:
„Nigdyby w moje kopce wróg się nie mógł schować,
„Anibym jego złości dozwolił grasować.
„Bo cóż to ja zastałem? żonę zmiotła kosa —
„A córę — szczep jedyny — z łez polewa rosa.
„Dla starój karabeli zbyt to wielkie dziwy
„Znosić tak ciężkie razy, los tak obelżywy.
„Alboż choć raz do serca me dziecię przytulił?
„Alboż młodością — wdziękiem — choć raz się rozczułił?
„Nie — od domu, imienia, ze wzgardą odgania,
„I teraz w Rzymie szuka ślubów rozwiązania.
„O! co tak to najlepší! i mnie to rozwiąże —
„Wysunie rażna młodzież, i ja za nią zdążę:
„Choć może mniejsi w liczbie, Boga w pomoc wezwą,
„To w końcu téj tam waśni — dzwony się odezwą!“
Otarł znużone czoło, czapkę głębiej wmiesił,
Kiwnął ręką, i głowę czarnym myśłom zwiesił.

XIII.

Za wrotami koń grzebie, a we wsi psów wrzawa:
Skąd to kozak przypędził, że taka kurzawa?
I zsiada, — i na płocie cugle zarzuciwszy,
Wchodzi w duży dziedziniec, wąsa poprawiwszy.
Na ogorzałej twarzy ostrych chwil wspomnienie:
Prosty jego był ukłon, krótkie pozdrowienie;
Jednak różnym się zdaje od służalców grona,
Poddany — lecz swobodę z ojca powziął łona,
I gdy dumnie pojrzawszy do pana iść żąda,
Śród wiodącej go zgrai jak władca wygląda:
Zwinne jego obroty, kroki jego lepsze,
Bo swoje członki wędził na stepowym wietrze,
A barania czapka za każdym ruszeniem
Miga gdyby chorągiew czerwonym płomieniem —
Pomiędzy chwast, zarośle, gdzie lipy z okopu
Są i cieniem i trwogą poziomemu chłopu —
Aż przed pana Miecznika stawi się z orszakiem.
A koń rży, jak za matką tęskni za kozakiem!
„Czy masz pismo?“ — „Jest Panie — i jeszcze list wczora
„Oddałby nim kur zapiał, bo swisnął z wieczora,
„Ale że czart na stepie tumany wyprawiał,
„To żeby was z Jójmością Bóg od złego zbawiał.“
„Że zawsze mi z listami spóźnił się — to gorzej:
„Czyj kozak co się djabłów albo ludzi trwoży?“
„Alboż wam nie świadomo krasnych czapek sława,
„Co z rodu panom wierna? — czyj? — Grafa Wacława.“

Czyta Miecznik: gdy w Marji ocknioném wejrzeniu
Nie czczy tylko ciekawość — życie w przesileniu;
Jój łono podniesione w lekkiej pływa fali,
Co ją do szczęścia niesie lub szturmem obali;
Jój lica płomień zajął, z pod serca zapory,
Pięknym, lecz przykrym blaskiem — jak suchot kolory.
„O kozaku i koniu niech mają staranie!
„Ja wraz listy odpiszę — waszeć czekaj na nie!“
Na głośno grzmiące słowa słuch miał przytępiony;
Na śliczne czarne oczy spojrzał rozczulony,
Skłonił nisko Ichmościom; i co bądź się zdarzy,
Kozak z służbą odchodząc, wesoło im gwarzy.

XIV.

„Niechaj kto z ludzi zgadnie! — jeśli to nie zdrada,
„To mojej biednej Marji radość zapowiada.
„Pisze mi Wojewoda w cukrowych wyrazach,
„Że mamy już zapomnieć o naszych urazach,
„Że żałuje za grzechy — nie tylko ogłasza
„Swoj afekt dla synowej, ale w dom zaprasza.
„Więcej jeszcze — takiego, jak mówi, zameścia
„Syn nie wart, bo zasługą trzeba się dobić szczęścia;
„Pragnie więc żeby wprzód w wojennej potrzebie
„Jakim rycerskim czynem stał się godnym ciebie;
„I gdy właśnie Tatarzy grasują w tej stronie,
„Jemu stawić się kazał w twych wdzięków obronie;

„A tak z laurem u czapki świata się pochwalić,
„Że tę co umie kochać — potrafi ocalić!
„Dziś ma tu z wojskiem ciągnąć. “ „Dziś? jago zobaczę?
„O Boże! jaka radość! jakże serce skacze!
„Ale na cóż te bitwy? czyż z twarzy wyrazu,
„Że śmiały i szlachetny nie widać od razu?“
„Jednak to rzadko ludzi jak Pan Wojewoda;
„Sam wyznaje się winnym — lecz mnie ciebie szkoda!
„Ojcze! ja taka blada — on mnie się przerazi,
„Może się dużo zmartwi — może się obrazi!
„Trzaby się — trochę przywdziać — jakże znajdujecie?
„Jabym chciała być jemu najpiękniejszą w świecie!“
„Czekaj! czekaj — przed siecią nie złapiesz szczupaka;
„Może tu jeszcze przyjdzie zagrać nam w straszaka.
„Wszakże i Tatarów wypłoszyć stąd żądam,
„A dla czego wždy siedzę? — bo się w zad oglądam.
„Zobaczym tych rycerzy — mnie się wszystko roi,
„Że jakieś mataczyny Wojewoda stroi.“
Ale już trąb w powietrzu rozlega się brzmienie,
Słychać z dala chrzęst zbrojnych, a ziemi jęczenie;
Już wyprzedziwszy hufce, co w wolnej szły mierze,
Stanęli jacyś u wrót skwapliwi rycerze.
„Wacław!“ krzyknęła Marja — i prędzej niż strzała
Kirem okryta postać do niego leciała.

XV.

O! jakże szczęście ładne, jak żywo oświeca
Młode szlachetne czoło a nadobne lica!

Jak w pogodném spojrzeniu jaśniało wspaniale
Wdzięczne serce młodzieńca w całej swojej chwale!
I na tle przezroczystém pociechy rozlanéj,
Słodkie sny przez nadzieje duszy kołysanéj:
Mężny — wyniosły — miły — po niszczącój burzy,
Różowy blaskiem tęczy co mu przyszłość wróży
Z jakąż lubą rozkoszą w każdój żyły biciu
Ujął w spragnione ręce swój wdzięk cały w życiu!
Z jakże pyszną opieką, tkliwie, drzące łono
Skrytój, cichój pieszczoty, utulił obroną!
Precz złocisty luzaku — weź tego rumaka —
By nie spłoszyć miłości pierzchliwego ptaka.
A ty panie Mieczniku spocznij — moja rada:
Kręci się łaza w tém oku i na wąsy spada:
To może już i w boju robi ci się ckliwo?
A Marja? — ah! i Marja czuła się szczęśliwą —
Szczęściem niewiast, dla których słodkie w życiu chwile
Są jak pogodne niebo, gdy piorun grzmi w tyle!

XVI.

„No panie zięciu!“ Miecznik z mokremi oczami,
Błyszcząc radością serca, mówił pod lipami,
„W tym widzę dzikim świecie wiatr pociechę wodzi;
„A ledwo witać zdążysz — żegnać się przychodzi!
„Tą razą nie na długo — mężnie się postawim,
„Ja moich także zbiorę, to się nie zabawim.

„Dobrze mówią, że twarda powinność rycerza,
„Kiedy mu zwłaszcza miłość wygląda z pancerza,
„Ależ po krótkim znoju, spokojnej swobody
„Użyć bezpieczniejsz można na wesołe gody.
„Skoro dom mój uczciło takie lube goście,
„I w kielich się uderzy — i nie będziem w poście.
„Marja niech się tymczasem w krzątaniu nie leni:
„Suto stoły zastawić — nie szczędzić korzeni —
„Pieprze, bobki, imbiry, cykaty *), szafrany;
„Bo to ten piękny rycerz w bakaljach **) chowany.
„O winie ja pomyślę; — i gdy w onym stawie
„Słońce już błogi żywot zatopi jaskrawie,
„Jeśli mnie nie zawiodą moje przedsięwzięcia,
„Tatar rosę pić będzie — ja za zdrowie zięcia!
„Co teraz to was żegnam; po ciężkim frasunku
„Milsza jeszcze pomyślność — na cnoty kierunku!
„Ja ludziom oręż rozdaję, siebie też przysłonię;
„Ale jak w trąby wrzasną, to zaraz na konie!”

XVII.

Poszedł. — Na świetnym, zimnym rycerza ramieniu,
Sparta śliczna twarz blada w piór łagodnym cieniu.
Czarne warkocze dźwięczą bo w łusce pierś harda,
Giętką kibić nie ciśnie, choć ściska dłoń twarda:

*) Skórki cytrynowe, cukrem zaprawne.

**) Frukta osobliwe.

Stalowa odzież — w świecie i Przyjaźń złośliwa,
Wdzięczne serce — to Miłość na zbroi spoczywa.
O! jak z spłonionych liców, czułem, chciwem okiem
Patrzył w tę piękną postać pod smutku obłokiem!
Jakby powaby liczył! i znowu nie wierzy,
Czy mu Czas w jego skarbie nie zrobił kradzieży.
Nie, ten uroczy połysk co jój oczy krasie,
Nieznikomy, bo z duszy — chyba go Śmierć zgasi.
Lecz gdy kir rycerz dostrzegł posępną radość,
Co przy żałobnej szacie aż ćmi przez swą bladość,
I słodki w górę uśmiech, boleści wdzięk cały;
I na tle czystem, plamy, co łyzy wymaczały;
Szczęście się jego prędko owlokło jój chmurą:
To słabszy, wietszy, bielszy niż u czapki pióro,
„Gdym w stepowej i w dzikszej umysłu pustyni
„Lubił bładzić, aż pomrok przedmioty zasini,
„Nigdy mi żadna gwiazda nie błyszczała w ślady,
„A koń bił się do domu przez wichry i grady:
„Tyś dla mnie zesła Marjo! i w brzasku mych myśli
„Świetną drogę twe światło ku niebiosom kryśli,
„O! szczęśliw, pyszny, wdzięczny, że w zalotnym gronie
„Czułość na mnie z ufnością śliczne sparała dłonie!
„O! błogi, że w tém sercu przez mokre źrenice,
„Życia, czucia Aniołów czytał tajemnice!
„Lecz czemuż ta łza smutku, której ciężkiem tchnieniem
„Ja oddychałem, i ciebie okryła swym cieniem?
„Czemuż we mnie tarń życia kolcami nie wrośnie,
„Tobie mdłym pachnąc kwiatem wkrótkiej swojej wiosny?

„I mnie wydarli wszystko — i więcej niż tobie;
„Ty do nieba należysz, ja się błąkał w grobie;
„A czarném pędzon widmem, gdy jasność postradał,
„Byłbym świętym przedmiotom srogie ciosy zadał.
„Bo z panem Wojewodą nie służy żartować,
„I raz dobywszy miecza, już go nie trza chować:
„Toby się ojców zamek był kurzył szeroko,
„I nie jeden pokrewny oblewał posoką;
„Toby w sercu osiadły ten dym i ich cienie —
„Alebym Marji dopadł przez krew i płomienie!
„Nie drzyj, wszystko minęło, gdy ciebie zobaczył —
„Jeszcze pierwój: jak tylko, żeś moją, oświadczył,
„Tak mi tém jednym słowem serce usposobił,
„Jak gdyby mi nikt — nigdy — nic złego nie zrobił.
„To wzięwszy moję szablę, której blask odsłonię
„Nie prywacie, lecz twojej i kraju obronie,
„To wzięwszy mego konia, co nieraz w te niwy
„Tak szypko mnie unosił — jechałem szczęśliwy.
„Oh! z jakąż ja radością te lipy ujrzałem!
„Jakże ich chłodu dusza pragnęła z zapałem!
„Ty nie wiesz — ty co umiesz bez chluby łyzy koić,
„Co to jest dzikie serce do siebie przyswoić,
„Co tęsknić za dobrocią, a wdzięków żałować,
„Wktórych spomnieniu umysł chciałby istność schować.
„Marjo! czyś ty nie chora? bo masz taką postać,
„Jakbyś się do Aniołów myślała już dostać;
„I w nowém udręczeniu, choć się tobą pieścę,
„Prawie się spytać pragnę, czy mnie kochasz jeszcze?“

- „Czy Marja ciebie kocha? mój drogi, mój miły!
„Więcej niż kochać wolno i niż mogą siły;
„Więcej, niż wątle serce, gdy jemu już zadość,
„Znieść umie tak niezmierną, niespodzianą radość.
„I gdyby nie Tatarzy co mi w oczach błyszczą,
„I gdyby nie ich strzały, co mi w oczach świszczą;
„Tak mi lekko, tak słodko, tak mi nic nie trzeba,
„Jakbym w twojem objęciu leciała do nieba.
„Czy Marja ciebie kocha? pytaj się jój cienia,
„Czém dla Marji świat cały bez twego spojrzenia?
„Czem dla Marji świat przyszedł — bez twego spomnienia!
„Nieraz w zmysłów zamknięciu, nad tą dużą księgą
„Zniżona całém czuciem przed Stwórcy potęgą,
„Gdym chciała ciebie stłumić modlitwy pociechą,
„Zaraz mi brzmiało jakby twego żalu echo!
„To może Pan Bóg skarże tak żywe kochanie,
„I tatarska ci strzała w serce się dostanie.
„Widzisz ten jasny promień? co z liści osnowy
„Ciągnie swój drżący połysk między nasze głowy?
„Ten promień żywi; zdobi, każdego weseli:
„Czemuż, gdyśmy złączeni, on jeszcze nas dzieli?
„Próżno, próżno mój luby! choć usta z ustami,
„Patrzaj — chyli się z liściem, i jest między nami.
„Ah! wśród unieścień bitwy i zwycięstwa wrzawy,
„Przypomnij sobie, drogi, że promień twój sławy
„Tak czysty, taki świetny jak słońce na niebie,
„Jaskrawym swym wieczorem noc spuści na ciebie!
„Oh! niechaj pierwój Marję w ciemnościach zagrzenie!

„Nie prawdaż mój Wacławie? ty będziesz odważny,
„Stały, wytrwały, dzielny — ale i uważny!
„A gdy już moje oczy wdrażone zgryzotą,
„Długo patrząc w swój żywioł, swe życie rozplotą;
„Gdy serce wytchnie z twogi przy piersiach bez stali,
„To może się na miłość Wacław nie pożali?
„Cieszyć się twą radością; twój smutek łagodzić,
„Nie myśleć tylko o tém, w czém tobie dogodzić,
„Być twoich chwil osłoda, czasem ich ozdoba,
„Żyć dla ciebie i w tobie, umierać przed tobą,
„I w téj ostatniej ohwili, choć w cierpień natłoku,
„Gasnącym wzrokiem szczęście składać w twojem oku,
„A gdy nie wolno z tobą, żyć w twojej pamięci, —
„To Marji cała miłość, wszystkie Marji chęci.
„Skoro mi szczęśliw wrócisz, mą harfę nastroję,
„I przy blasku księżyca usiadłszy oboje,
„W tklivéj, smutnéj, jak lubisz, unosząc się nócie,
„To co nikt nie wyraził, przywłaszczym uczucie. —
„Ah! — z jak okropną trąbą zagrały żałobą!
„Oh! nie rzucaj mnie znowu! oh! zabierz mnie z sobą!“

XVIII.

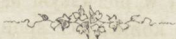
Padła w drogie objęcie, i wygiętą kibić,
Żal z taką drżącą trwogą do niego chciał przybić,
Taka młodość w bladych licach, a śliczne ramiona
Tak go czule garnęły do słodkiego łona,

Że gdy z tych smutnych pieszczot wydierał swą wolę,
Jakby je zrywał z serca, takie w niém czuł bole.
Nie — zostać niepodobno — chyba sławę skazić,
I zawdzięczając miłość na wstyd ją narazić!
Lecz, oh jakże głęboka, jak posępna żałość,
W rozpaczę swój kochanki hartować swą stałość!
Ani jój wszystkich wdzięków pożegnać był w stanie;
Ni czasu w marnych jękach przeciągać rozstanie:
Woła do chwały trąba, siwy wódz go czeka,
Burczą rozpięte znaki, zwycięstwo ucieka.
Powstał, złożył swą lubę, dzikim ogniem błysnął,
Białą omdlałą rękę do ust swych przycisnął,
Jakby w jój szczupłe, gładkie, rozkoszne ugięcie
Chciał wrazić wszystkie czucia, w swych uczuć zameęcie.
Już odszedł wziął spokojność, przed wzrokiem, co czuwa.
Lśniącą, wyniosłą postać krok każdy usuwa:
Już w jego próżném miejscu zadumana, blada,
Ciszę budząc westchnieniem, Samotność usiada;
A na odłogu szczęścia Zgryzota korzeni
Swe kolczyste łodygi robaczliwej rdzeni.

XIX.

Dosiadł bystrego konia, lecz troskę miał w oku
Młody Wacław, i w pierwszym osadził go skoku;
Dosiadł bystrego konia, lecz spojrział wesoło
Stary Miecznik, i w pędzie zawinął nim koło.

Za nimi brzmia puzany, za nimi, za nimi
Zrywają się rycerze jakby ptaki z ziemi;
Hasa szlachecka młodzież na wroga Tatara,
Sunie się towarzystwo i w szeregach wiara,
Pancerni i husarze, za nimi kozaki,
I z spłoszonymi końmi harcują luzaki.
Patrzaj pyzate dziecko z pod słomianej strzechy,
Niech ci widok żołnierzy zaszczepia uśmiechy,
To może dziki owoc zerwie potem wojna:
A ty matko, co kłaniasz, bądź zdrowa, spokojna,
Nie trwóż się szczękiem zbroi, długimi dzidami:
Zapał polskiego wzroku ugasza się łzami.
Już we wsi tylko kurze — jeszcze słuch, łoskotem
Drga dźwięcząc przygłuszony i koni tupotem.
Już we wsi kurz osiada: jeszcze przerywanie,
Zdała wojennych rogów dolatuje granie,
I cicho — jak na sercu Śmierć swój obraz kryśli;
I pusto — smutno — tęskno — jak u Marji w myśli.
Wzniosła swą lekką postać do góry, do góry:
Nic nie widać, tylko wiatr szare goni chmury.
Zniżają się kolana, prośba ręce składa,
Z oczu w niebo utkwionych kroplami żal spada;
I cicho, jak modlitwa w łono Boga płynie,
I pusto, smutno, tęskno, jak gdy szczęście minie.



PIEŚŃ II.

On Conrad's stricken soul exhaustion prest,
And stupor almost lulled it into rest.

Byron.

I.

„Bujno rośnie, odludnie kwiat stepowy ginie;
„I wzrok daleko, próżno, błądzi po równinie;
„A w niezbędnej zgryzocie jeśli chcesz osłody
„Chmurne na polu niebo i cierpkie jagody.
„Idź raczej w piękne mirtów i cyprysów kraje:
„Co dzień w weselnój szacie u nich słońce wstaje:
„U nich w czystém powietrzu jaśniejsze wejrzenie,
„I głosy rozpieszczone i rokoszne tchnienie;
„U nich wawrzyny rosną, i niebo pogodne,
„A na kształtnych budowlach męże wieków dawnych
„Stoją w bieli, i pyszni z swoich imion sławnych,
„Zapraszają z daleka w czarowne zwaliska
„Bogów i bohaterów — pajaków siedliska.
„Tam, jeśli dawnych rzeczy myśl w tobie głęboko,
„Może w ten śliczny błękit wpatrzywszy twe oko,
„Słodycz w rozpacz y znajdziesz i lubość w żalobie,
„Jak uśmiech ust kochanych w śmiertelnój chorobie.
„Ale na pola nie chodź, gdy serce zboleło:
„Na równinie mogiły — więcej nie zostało;
„Resztę wiatr ukraiński rozdmuchał do znaku, —
„To siedź w domu i słuchaj dumek o kozaku.“

„Moje młode pacholę! gdzież to ty wędrujesz?
„Czy z Ziemi Świętej wracasz, że tak utyskujesz?“
„Oh! nie — ja wszystkim obcy wśród mojej ojczyzny,
„I śmierć mi zostawiła czarne w piersiach blizny,
„I świata jadłem gorzkie, zatrute kołacze:
„To mnie ciężko na sercu, i ja sobie płaczę.
„A kiedy się rozśmieję — to tak za pokutę;
„A kiedy będę śpiewał — to na smutną nótę.
„Bo w mojej zwiedłej twarzy zamieszkała bladeść,
„Bo w mej zdiczałej duszy wypleniono radość,
„Bo wpływ mego anioła grób w blasku zobaczy.“
„To czegoż chcesz pacholę?“ „Uciec od Rozpaczy.“

II.

Stało młode pacholę, pod płótem zostało,
Na smutek co się skarży uważają mało,
A ten, co z niem rozmawiał na wrotach oparty,
Wyszczrzył w inną stronę wzrok cały otwarty,
Skąd w różnofarbnych strojach, huczne czyniąc wrzaski,
Niespodzianym orszakem zbliżały się maski.

1.

„Czy znasz Weneckie zapusty?
„I w noc, i we dnie,
„Wesołe, szalone, przednie.
Maska twarz kryje — a kto się pyta
„O sprawy czyje, tego przywita
„Wrzawa, śmiech pusty.

„Żywo, radośnie,
 „Skrycie, miłośnie,
 „Staruszek Doża, Arlekin młody,
 „Dziewczyna hoża, szuka oślody,
 „Matrony.....; oszusty
 „Swobody,
 „A kryte łodzie
 „Czernią na wodzie,
 „Wrzawa, śmiech pusty!
 „Czy znasz weneckie zapusty?“

2.

„My sobie jedziem kulikiem.
 „I w noc, i we dnie,
 „Wesołe, szalone, przednie,
 „Maska nas kryje — a kto chce wiedzieć,
 „Skąd my i czyje, to odpowiedzieć
 „Śmiechem i krzykiem.
 „Szczera ochota
 „Otwiera wrota:
 „Bo Krakowianki i pielgrzym stary,
 „Żydzi, Cyganki, uderzą w pary,
 „Wróżki, Djabli, nie oszusty,
 „W puhary.
 „Lecim saniami,
 „I jadą z nami
 „Wrzawa, śmiech pusty.
 „Czy znasz ty polskie zapusty?“

„Ale tu wejść nie można; teraz nie zapusty:
„Pan Miecznik na Tatarach, to i dworzec pusty.“
Tak stary sługa wstrzymał tych przychodniówśmiałość,
I znów rozparł na wrotach niewzruszoną stałość.
Lecz gdy grać, śpiewać, piszczeć, grzechotki potrząsać
Poczęły wszystkie larwy, a nogami płasać,
I łączyć obce stroje, papierowe czoła,
Wzrok żywy, rysy martwe, w migające koła,
I farby, blaski, cienie, rozwijać w polocie,
I skoczno, zwinno, huczno, rzucać się w obrocie;
Tak mu w szumiącej głowie myśl wzięła tańcować,
Że patrzył, a nie wiedział, jak się pomiarkować.
Śmiał się z Żydów, Cyganek, bał Wrózek z Djabłami,
I chciwie łapał ruchy, i mrużył oczami.
A maski przed nim skacząc mijały się żwawo,
A maski w nim ciekawość syciły obawą.
Aż wykrojone usta zadmuchawszy w rogi,
Opuściły się ręce, zatrzymały nogi,
I głosy ostre, fletni umilone wtórem,
Wrzasnęły tę piosneczkę niedobranym chórem:
„Ah! na tym świecie Śmierć wszystko zmiecie,
„Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.
„A gdy się troski do duszy wkradną,
„Huczac w niej chmury czarnemi;
„A gdy nieszczęścia na kogo spadną,
„I postać wzniosłą, szlachetną, ładną,
„Smutek nachyli ku ziemi:

„O! niech na chwilę Złość się już schowa,

„Rany sztyletem nie cuci.....

„Niech choć przy zgonie zabrzmiały te słowa:

„Wróci spokojność — wróci!

„Bo na tym świecie Śmierć wszystko zmiecie,

„Robak się łęgnie i w bujnym kwiecie.

„Albo gdy nieba cud nad chorobą,

„Gołąb — od przekleństw odleci;

„I władzę życia zabierze z sobą.

„A wyschłe lica nadmie żałobą,

„Wprzód nim gromnica zaświeci:

„Niech nikt, by uśpić zgonu boleści,

Tryumfu pieśni nie nuci.....

„Chyba te słowa w końcu umieści:

„Wróci twój Anioł — wróci!

„Bo na tym świecie Śmierć wszystko zmiecie,

„Robak się łęgnie i w bujnym kwiecie.

„A gdy kto chętny w drugich obronie

„I sam się w przepaść zagrzebie,

„Krótka stąd radość w Zawieści łonie;

„Choć złe i dobre w grubiej zasłonie,

Sąd ostateczny jest w niebie:

„Może w kłopotcie i silna głowa

„Pośpnie kiedy się rzuci.....

„Niech z ust życzliwych brzmiały w tedy słowa:

„Wróci wesołość — wróci!

„Bo na tym świecie Śmierć wszystko zmiecie,
„Robak się łęgnie i w bujnym kwiecie.

„A gdy kto dążąc z dalekiej drogi.

„W mieszkanie Przyjaźni zajdzie,

„I już w uciskach topić ma trwogi;

„Lecz ciche, puste przebiegłszy progi

„Twarzy kochanej nie znajdzie:

„Więc drżąc, czy się co złego nie dowie,

„Spuszczone czoło zasmuci.....

„Niech choć Gościnność kręcąc się powie:

„Wróci gospodarz — wróci!

„Bo na tym świecie Śmierć wszystko zmiecie,

„Robak się łęgnie i w bujnym kwiecie.

„Ha! Pan Bóg święty z wami! jeśliście nie Duchy,

„To wasze pstre maskarki wesołej otuchy.

„Alboż to nam pierszyna? wszak nieraz kuligi

„Po całych tu miesiącach skakały jak frygi*):

„Prosim, Jegomość wróci; a choć nie jest w domu,

„Na winie i pierzynie nie braknie nikomu.“

Weszły, nisko kłaniają; w parach się prowadzą,

Obzierają się w koło i kupią i radzą.

III.

Słońce już wówczas łuk swój zbiegając szeroki,
Czerwonym blaskiem szare barwiło obłoki,

*) Wartałki.

A żółtém drgając światłem po ziemi i wodzie,
Na swym bogatym tronie płonęło w zachodzie.
Już jego pełne dziwów nie razi spojrzenie,
Lecz łagodne, widome, rozsiewa promienie,
I w krótkim pożegnaniu, nim w głąb się zagrzenie,
Śmiertelnym oczom patrzeć pozwala na siebie;
Jeszcze w chwili ostatniej nie znika z pospiechem,
By wszystkie twory życia napoić uśmiechem;
Jeszcze wziera przez szyby w mieszkanie człowieka,
Jak wzrok tęsknej Przyjaźni co w podróż ucieka;
I purpurowe szaty rzuciwszy na chmury,
Nurza swe czyste łono w tajniki natury,
Gdy Noc, zazdrośnym palcem ścierając Dnia ślady,
Ciemny płaszcz wlecze z tyłu — dla zbrodni i zdrady.
Lecz gdzież bawi pan Miecznik? właśnie to jest pora,
W której przyrzekł po bitwie wziąć się do gąsiora,
I miał żywej radości w sercu nie uchowac,
Dom zebrać, córę szczęścić, bo zięcia częstować;
I piękna mu gromada przybyła w gościnę:
Jakaż niewczesnej zwłoki może dać przyczynę?

IV.

Od chwili, co zwycięstwa odkryła się meta,
Od chwili, co w niej dosiadł żartkiego dzianeta *),

*) Konia dobrej rasy.

Od chwili, w której trąby w wszystkie jego żyły
Głosem dzielnej przeszłości jak grom uderzyły,
I widział rażną młodzież, i słyszał chrzęst брони,
Trzask goleń, szum proporców, a chrapanie koni,
I dążąc w drużbie z zięciem, gdzie im sława świeci,
Czuł to, co stary orzeł gdy piskłę z nim leci;
Od chwili, co mu w myśli wstecznym kręcąc biegiem,
Tatarskie zbrodnie krwawym stały szeregim:
Hardość w marszczoném czole, ogień był w żrenicy,
Czapka na lewém uchu, zniszczenie w prawicy,
Gdy chciwa walek dusza przeraźliwie wstrząsa
Każdy włos najeżony u siwego wąsa.

Jak tylko wyszli za wieś, mieczem z pochew świsnął,
I wzrokiem, coby tchórza do ziemi przycisnął,
W bitne hufce patrząc, że aż serce rośnie,
Do uważnego słuchu zawołał donośnie:

„Panowie szlachta! miejscy! bracia szeregowi!

„Wiem, żeście spać na wrogów jak piorun gotowi;

„A ktoby się śmiał straszyć tatarskiego tańca,

„A! ktoby życie szczędził srogiego pogańca,

„Niech mi precz na szkapie do domu wyskoczy,

„Bobym mu potem kordem zamalował oczy!

„To szybko, łącznie, śmiało, strzałki wystrzelają,

„Bóg wiara, ufność szabla, i łby pospadają

„Jak kłosa, co to niby migocą się świetnie,

„Nazajutrz leżą zwiędłe, gdy kosa je zetnie.

„Ale nikt nie potrafi jeść kaszy spokojnie,

„Jeśli wabić szarańczy nie umie na wojnie:

„To cicho, baczenie, mądrze, aż gdy huknie w trąbie,
„Wpaść obces, i pokazać, że to Polak rąbie;
„Wtedy dopiero każdy niech mi ryb nałowi,
„Panowie szlachta, miejscy! bracia szeregowi!“

Potém jadący szlapią z swoim zięciem w parze,
Naradzał się po cichu w wojennym zamiarze:
Mówił szpiegów wywiadki, tłumaczył jak, kędy,
Sił wzajemnych w natarciu połączyć zapędy;
Jak korzystać z zwycięstwa; w przypadku odporu,
Jak używać na pogrom ucieczki pozoru.
Słuchał zajęty Wacław, gdy ręka i głowa
I każdy rys Miecznika popierały słowa:
Rzekłbyś, patrząc w ich obraz, że sztuka malarza
Z dobranych przeciwności czarowną myśl stwarza,
Żywość w starcu, w młodzieńcu Rozwagę wyraża.

V.

Tymczasem wieś minąwszy, z bitéj schodząc drogi,
Coraz się — coraz głębiej wpędzali w odłogi,
Gdzie Wiatr ziarna zasiewa, Czas płody przewraca,
Nie zbiera plonu Chciwość, ni schyla się Praca:
Samotne, ciche, błogie, dziewicze ich wdzięki
Kwitną skrycie, od człeka nieskażone ręki,
Niebo je obejmuje, gdy w całym przestworze
Rozfarbionéj żywności rozciąga się morze.

Tam wódz stary, jak żeglarz, podług biegu słońca
Szybował swoim wojskiem w kierunku bez końca;
Łamiał się rosłe trawy, krzą chwasty, a zioła
Składają pod kopyta balsamiczne czoła.
Ale przez siwe wąsy nie przechodzą wonie,
Ni lubość tchu słodkiego w groźnym biega łonie;
Wojna, wojna zajmuje wszystkie jego władze,
Cześć prochom pół ojczystych, zemsta ich zniewadze!
Ani się wwieść dozwolił w fałszywe zapędy,
Gdy zszedł tatarskich śladów kręcone obłędy,
Co wśród gęstych zarośli niedościgłe szlaki
Tłoczą na wszystkie strony dla mylnej poznaki;
Lecz w poprzek przerynając ich sztuczne drożyny,
Uśmiechnął się jak strzelec, gdy pewny zwierzyny.
Wkrótce złęczone hufce w umyślnym fortelu
Rozdzielił na dwie części — dla jednego celu,
Do zostających czapką kiwnął pożegnanie,
Z swojemi w bok się rzucił na niezmiernym łanie,
A kryjąc się w bodjaków rozkwitłych ogromie,
Już rycerze bez koni w czerwonym poziomie,
Już popiersia wędrują na skrwawionym spodzie,
Już kołpaki, proporce, już znikli jak w wodzie.

VI.

I Wacław, pan wszechwładny, wśród stepów przestrzeni
Sam buja w swojej woli; czegoż tak się mieni?

I Wacław dziki, mężny, wśród dzikiej natury
Wiedzie hufce do chwały; czegoż tak ponury?
Śpiewa mu głośno wicher, a Wacław w nim nieraz
Lubił kąpać swe oczy; czemu spuszcza teraz?
Smutny on, zamyślony, choć pełen ochoty,
Nie spojrzął nawet jeszcze w swoje wierne rotę,
A dla czego? sam niewie, tylko że mu Sława,
Łzami Marji splakana, przed oczami stawa,
Tylko że jego serce w takim nagle drzeniu,
Jakby kto kir przeciągnął w śpiącego ocknieniu
I w strachu go zostawił, w trosce i zdziwieniu.
Szybkim głowy pomiotem strząsnął złote włosy,
Jakby się pozbyć starał zimnej na nich rosy;
Szybkiej konia w wysoku przychylił się woli,
Jakby ulecieć pragnął od swojej niedoli;
A w jego mglistych oczach taki blask w tej chwili,
Jak kiedy dusza czucia najżywsze przesili,
I wszystkie razem smutki w zwycięztwie rozżarzy
Światłem nieśmiertelności na śmiertelnej twarzy.
To jakiegokolwiek myśli, wspomnienia, czy trwogi,
Żal, słabość, czy widziadła zbijały go z drogi;
To jakiegokolwiek losy zwalczą jego czynność,
Już teraz miłośnicą — rycerska Powinność!
Czy Duch złego, co ludziom nadziei zazdrości,
Odchylił mu przez chwilę zasłonę przyszłości?
Czy struny nateżone tkliwym władz wysnuciem,
Tknięte ręką Nieszczęścia zabrzmiały przeczuciem?

Może on w boju legnie? — co bądź mu przypadnie,
Jego umysł, ni szabla, nie uleże snadnie;
A chociaż Śmierci oddech mgłą oczy zasłoni,
Rdzy nie będzie na sercu, ni na jego bronii.
I jak wstrzymany potok w swoim bystrym pędzie
Dno porze i rozwała łożyska krawędzie;
I jako rumak z pęta gdy lot swój rozwija,
Rwie ziemię, ogień ciska i wiatry wymija;
Tak Wacław niecofnięty w swym ciemnym zawodzie,
Rozdarłszy tło przyszłości, co mu na przeszkodzie,
Tém chciwiej, tém gwałtowniej na sztych się wydziera,
Groźnym pewności wzrokiem w swój oręż poziera;
A jednak, głos straszliwy (choć spojrzenie dumne)
Brzmi w całym jego ciele: „zdobędziesz ty trumnę!“

VII.

Jest trosków, kolców, bólów nie mało w tém życiu,
I więcej, niż na jawie, płynie łez w ukryciu;
A kto się hucznym śmiechem wśród jęków odzywa,
Jak szalony w szpitalu, szczęsnym się nazywa.
Lecz gdy umysł szlachetnej uległszy ponęcie,
Z gruzów najdroższych uczuć wznosząc przedsięwzięcie
Brnie w zdradliwej ufności, a za każdym krokiem
Podkopanych przepaści otoczony widokiem;
Gdy ptak z karmem pisklęcia trzepoce swe skrzydła,
Widzi chłopię z pałeczką, a na szponach sidła;

Gdy sroźszej od najsroźszych wpatrując się męce,
Sama nawet Odwaga załamuje ręce,
A z tysiąca blizn czarnych, co jęj w sercu cięży,
Gniazdo syczących na świat wylęga się węży;
Gdy Złość w swoim szaleństwie zrobiła zabawę,
Wyprzeć życie w kaduku, ale pierwěj sławę,
I nietylko Obecność tarza się w ohydzie,
Przyszłość jeszcze otruta rozczochrana idzie,
Komu? anielskiej duszy, co zato przekłeta,
Że cukrem przyjmowała drapieżne zwierzęta;
Gdy każdy dobry przymiot w gorzki żal się zmienia:
Większe to, niżli ziemskie: piekielne cierpienia!
Czy te lub inne jeszcze dotkliwsze katusze
Złały swój wrzący ukrop na młodzieńca duszę;
Ci, co za nim rzędami w skłnjącj gonią fali,
Na smutek swego wodza nie wiele zważali:
Każdy myślał, — i chociaż różnica w sposobie,
W tém przecież podobieństwo, że każdy o sobie:
A jednak każdy gotów z wzniesioném żelazem
Rzucić się w ciennik Śmierci — za jednym rozkazem.
Szli — w milczeniu, w porządku, koniom w tropy
Krzyżujących nóg stawiając migające stopy,
Kędy ich długim sznurem wedle swojej chęci
Po odludnych manowcach młody Wacław kręci,
Przez niezmierzone niwy, tam gdzie już równina
Zda się kończyć, i znów się w płaszczynę zagina,
Dochodząc — naprzeciwno jasnego obłoku,
Jak Rycerze powietrzni wydali się oku.

VIII.

Lecz cóż widać na wzgórku? z bliskiego rozdołu
Kłęby dymu z iskrami buchają pospołu,
Wiją olbrzymie słupy, co zgięte u góry
W ciężkie, czarne, skrwawione rozchodzą się chmury.
Lecz cóż słyszać na wzgórku, w przyległej nizinie
Płacz, jęki, krzyk rozpaczy w słomianej dziedzinie,
Co biorąc serce w kręgi przeraźliwém brzmieniem.
Nawet pierś w stal oprawną podnoszą westchnieniem.
„Bacność! do broni wiara! chorągiew rozwinąć!
„Tatarzy wieś rabują, zwyciężyć lub zginąć!“
I nagle, jak wodostok, rycerze zajadli
Z błyszczącym szumem z góry na dolinę wpadli.
Tak pożar z rąk łupieżców wieś całą ochłonał;
Gdy lud zlekły, bezbronny w krwi i łzach utonął.
Lecz nie czas koić boleść ni mienie ratować,
Lub pojedynczo z wrogiem o zdobycz harcować,
Bo już przez swoje czaty ich Han ostrzeżony,
Zebrał znaczniejsze hordy w taniee ulubiony;
Tam — za wsią — stoją, całe zakrywają pole, —
Bór w lewo, strumień w prawo, a oni w półkole.
Widzi ich dobrze Wacław; ale razem zważa,
Że napad uchybiony na zgubę naraża.
Jak się cofnąć przez ogień? ej! któż zdoła minąć?
Co mu niebo przeznaczy — zwyciężyć czy zginąć?
„Czyja wola to za mną!“ rzekł i spał rumaka,
Co nim się rzucił w pożar, zżyma się i skaka

(Mniej ów niżli Graf Wacław odważny i dziki).
Jakżeby wodza polskie odstały szyki!
To i oni w płomienie: wśród blasku pożogi,
Przez główne i żarzewia szukają swęj drogi.
Już za wsią — i wraz szybko, sformie, lekko, śmiało,
Rozwinęło się wojsko i w linji ostało:
Zagrzmiały wszystkie trąby jednym strasznym dźwiękiem
Porwały się kopyta z jednym głośnym brzękiem,
A prychające konie i schylone ciała
Jednym pędem uniosła i Zemsta i Chwała.

IX.

Dzielne było natarcie. Tatarskie szwadrony,
Ich księżyce, buńczuki z końskimi ogony,
Ich futra wywrócone, ogromne ich łuki,
Płec śniada, wąsy zwiśłe a czarne jak kruki,
Ich nasępione rysy, przymrużone oczy,
W których śnie srogość zwierząt z ludzką się jednoczy,
Cały ten widok wreszcie w dzikość okazały,
Pożar, stepy w około, świszczące już strzały,
Żadnego, albo raczej jak z bodźców odzienie,
Takie na czuciach polskich zrobiły wrażenie.
Pędem burzy lecieli, lecz nim przyszło z bliska
Ludziom ostrza się dotknąć, koniom pyskiem pyska,
Gdy w pół-obręcz wpadali wślawnionem prawidłem,
Skrzydło tatarskie z tyłu zbiegało się z skrzydłem;

„Alla hu! wrzasły hordy, i tysiączne roty
Na opasanych strute wypuściły groty.
„Hura!“ krzyknęła wiara, i lotem sokoła
Chmurę strzał przeszywała w środku tego koła.
Dochodzą, już dochodzą zbitym w rzędy tłumem,
Lasem dzid najeżonych, z hukiem, z trzaskiem, z szumem,
Szczęk, krzyk, jęk, łoskot, wrzawa, powstał kurz, a ściana
Przebitych Bisurmanów wali się złamana.
Tratują ludzi konie; koncyrze, kopije,
Kolą pod kopytami niewiernych jak żmije;
Zapał głowy ogarnął; stal błyska; krew broczy;
Śmierć trudzi się zdmuchując wywrócone oczy!
Wszystko to chwilę trwało, bo z boków i w tyle
Barbarzyńcy nastają w niezliczonej sile.
Czas ginać hufcom polskim; młody wódz je zbiera,
Zachęca ich, szykuje, obraca, naciera.
Dopiero mieszanina: każdy obkoczony
Wirem męstwa na wszystkie wiwija się strony,
Rąbie, sili, morduje z nieprzebraną zgrają,
Jeden dziesięciu zwalczył, krocie nań wpadają;
Stek zawziętego mnóstwa, okropne ich wrzaski,
Tuman zewsząd, a mieczów latających blaski.

X.

W natłoku wrogów, co go od swoich oddziela,
Sam, bez wsparcia, nadziei, świadka przyjaciela

Walczył ponury Wacław, i walczył już o to,
Żeby życia co cięży nie oddać sromotą:
Śmierć miotał, śmierci pragnąc, oh! bo w serca głębi
Pisk taki, jak gołębia pod dziobem jastrzębi,
Harmonją jego myśli. Lecz czy to z zdziwienia,
Czy z strachu, czy też skutkiem dzielnego ramienia,
Ściskająca go w węzeł niezliczona tłuszcza
Coraz to w większą przestrzeń przed nim się rozpuszcza;
Widzą, poznają wodza, i każdy koleją
Rzuci się, zmiesza, zginie; zwyciężyć nie śmieją.
I gdy błękitném okiem rozpoznał młodzieniec
Cofający się przed nim nieprzyjaciół wieniec,
Smutku tylko doświadczył z téj dziwnéj korzyści,
Że już jego przecucie na nim się nie ziści.
Czemuż choć jednéj strzały nie mieli w kołczanie,
Coby jadem jaszczurki utkwiła się w ranie?
Żal mu, że już uchodzą, życia się obawia,
Goni ich srogie dusze, piersi im nadstawia.
Zaraz — zaraz — otyły, brunatno-czerwony
Han tatarski tam wpada wściekłością spieniony;
Postrzegł, że jego hordy jakaś moc zwycięża,
Postrzega, że to męstwo samotnego męża;
Targa kłaczystą brodę z rozpaczny w ohydzie,
Gębę krzykiem rozdziawia: o! zgrozo! o! wstydzie!
Na jednego tysiące z zmarszczoną powieką
Miecze wznoszą, już lecą, rozsięką! rozsięką!

XI.

Jakież to grały trąby za przyległym lasem?
Jakież to świeże hufy czwalaują z hałasem?
Jakiż to nowy rycerz krzyżowym zamachem
Drogę sobie toruje śmiercią i przestraczem?
Koń ledwo ziemi tyka; włosy rzadkie, siwe,
Wiatr z światłem rozwijają jak komety grzywę,
A w pływających ruchach, w wydatnej postawie,
Szparko bieżący pospiech o szybkość w obawie,
Jak lwica opuściwszy swoje lwiątko skoczy
Zajadłém męstwem, gdy je wpośród ludzi zoczy;
Jak matka, o wygnańcu straciwszy nadzieję,
Gdy ujrzy swoje dziecię, w radości topnieje:
Z takiem zmieszaném czuciem i matki i lwicy,
Z kordem świecącym w ręku, z lotem błyskawicy,
Zdziwionym, złękłym oczom gdyby jakiej mary,
Obok swojego zięcia Miecznik stanął stary.
Jego hufce tuż za nim; jego przywitanie,
Tobie należy najprzód napuszony Hanie!
Lecą obces na siebie: Polacy, Tatarzy,
W beczynnem zachwyceniu patrzą, co się zdarzy.
Jakiś czas Miecznik zmużył; uderzy, odskoczy,
I znowu w całym pędzie przeciwnika tłoczy;
Aż wybrawszy swą porę w odwet silnym razem
W kark niewierny święconém utopił żelazem.
Spada dzielnym zamachem odmieciona głowa,
Drga oczami, bełkoce niepojęte słowa,

Toczy się, ziewa, blednie i gaśnie; z tułupa,
Co siedzi niewzruszony, krew do góry chlupa!
Powstał krzyk przeraźliwy; pierzchają; koń Hana
Ucieka między hordy z trupem swego pana.
Strach przejął barbarzyńców; grzmiały trąby, rzeź grają,
Nowi rycerze gonią, dawni się zbiegają,
Trzask, iskry, świst z połyskiem, huk, wrzask, jęki, rzenie,
A zapyłona Sława upięknia zniszczenie.

XII.

Krótko już trwała walka. Wiele oręż składa,
Więcej legło, płochliwych straż tylna dopada;
Na stratowanej ziemi płyną krwi potoki,
Leżą polskie, kozackie i tatarskie zwłoki;
Jak który upadł tak mu zostać już niewola,
Dusze k'niebu, ich konie rozbiegły się w pola;
Opodal od nich w kurzu kołpaki, turbany,
Tylko miecz wierny przy nich posoką zbryzgany.
O! ty, co twój byt zawisł od współbraci męstwa,
Pójdź słyszeć radość wojny i krzyki zwycięstwa!
Zobacz, jak wpośród trupów, co już robak wierci,
Wąsate twarze sobie winszują ich śmierci,
I nasepione czoła rozwidniają śmiechem,
Co w swym hucnym odgłosie jakby gromu echem!
Chodź, nie drzyj: stanąć przy nich każdemu zaszczytnie,
Krwia wrogów zlaną śmiałość tak bujnie w nich kwitnie!

A jeżeli w tobie budzi życia poświęcenie
Za kraj swój za swych ziomków tylko strachu drzenie,
Jeżlibyś wszystko za nich nie oddał w potrzebie;
Opatrz się dobrze wewnątrz — to złękiesz się siebie.
Chodź, do stalowych piersi twój kaftan wełniany
Przyciśnij z wdzięcznym sercem — i całuj ich rany.

XIII.

Był wzgórek z brzegu lasu, zielenił swe czoło,
I zapach macierzanki rozsyłał w około,
Na nim schylone brzozy, w swój białej odzieży,
Płakały, gdy warkocze wietrzyk pieścił świeży,
Jak cienie dawnych dziewic przy kościołach rycerzy.
Tam — pod ich snem mroczące balsamiczne wieńce
Ściągnęli na spoczynek zwycięzcy i jeńce;
Bo w życiu choć ta jedność, że rokosz z cierpieniem,
Trud, nuda, wstyd i sława — kończą się znużeniem.
Z przodu — gasnący pożar jeszcze czasem ciska
Nagłym, śmiertelnym blaskiem na plac bojowiska;
Z tyłu — słońce, już wówczas schowane za borem,
Palącego się lasu dziwiło pozorem;
Szarzały wszystkie farby, kruki gromadami
Zlatywały się, krążąc, wrzeszcząc nad trupami;
Czaty porozstawiane, przy ogniskach wrzawa
Migających się ludzi, w końskich zębach trawa

Jak chrzęst odległych zbroi; — a jak orzeł biały,
Siwy, stary pan Miecznik, ale pełen chwały,
Chłodząc okrytą głowę pod brzozą tam siedział,
I ponuremu zięciu te słowa powiedział:

„Synu! — bo kiedyś z sercem połączon tak blisko,
„I masz w niém miejsce syna, miejże i nazwisko —
„Dziś jakby wszystko wite na szczęśliwój nici:
„Nasz Wacław powrócony, Tatarzy pobici,
„Spokojna Ukraina, bogdaj na czas długi,
„Fortuny to szczodroty nad moje zasługi.
„Lecz kiedy dusza, zda się, dzierzy czego żąda,
„Coś Wasze na zwycięzcę smutnie mi wygląda!
„Patrzno, jakże ci pięknie księżyc oto wschodzi:
„Zadość sławie, i sercu sfolgować się godzi.
„Siadaj na koń, spiesz wesół, kędy szczerza żona,
„I wierna nam drużyna, przyjmieć utęskniona;
„Ja tu objażdżki dojrzę, a jutro ze świtem
„Brzęknę wam na dobry dzień witaném kopytem.
„Siadaj, twój dzielny rumak prędko cię dostawi;
„Bądź zdrow! niech ci Bóg zawsze jak ja błogosławi!“

XIV.

Powstał z pospiechem Wacław, i dawnym zwyczajem
Uściskał starą rękę, co jemu nawzajem
Szorstkie, silne, lecz szczere oddała ściśnienie;
I już bystry koń z jeźdźcem przesadza drzew cienie,

A stary Miecznik wziął się do zwykłych pacierzy. —
O! jak ślicznie przez pole młody Wacław bieży!
Śrebrny połysk na włosach, na piórach, a w zbroi
Twarz ogromna księżycy malutka się dwoi.
O! jak ślicznie wśród ciszy w naturze rozlanéj
Lecieć z stęsknioném sercem do swojej kochanéj!
I każdy przedmiot witać z przychylną pamięcią,
I wszystkie je wyścigać nieścignioną chęcią!
Wtedy to słodkie tony brzmiące przerywanie,
Śpiew słowika, szmer wody i żab skrzekotanie,
W dzikiej tęsknėj i żywėj i tkliwėj muzyce,
Mówią ocknionym czuciom swoje tajemnice,
Wtedy to luby zapach, co z kwiatów ulata,
Lekkiém technieniem rozkoszy mgłę trosków odmiata,
I dusza rozjaśniona, jakby ujście miała
W niebiosą swego twórcy z kajdan swego ciała;
Wtedy matka Natura, wszystko z człkiem dzieli;
I wszystko się uśmiecha i wszystko weseli,
Wtedy w schowanej szabli uraz zapomnienie,
W pyszném spojrzeniu, dobroć, w ustach, przebaczenie.
I tak to leciał Wacław — błogi, gdyby nagle
Piorun rozdarł w téj chwili jego życia żagle,
Boby nim wichur świata miotać nie był w sile,
Chybaby szumiał wściekły po zimnej mogile;
I takto mijał stopy, lecz świetne marzenie,
Co niem ćimi dzieci ziemi szczęścia upojenie,
Oh! zbyt krótkie! — jak widmo wstaje Przypomnienie

I budzi martwą przeszłość, i wonne kotary
Szepcą drzeszcz i niepokój zgromadzone mary.
„Tak ją mdlą, słabą widział; a wszak bez obrony
„Wiednie pieszczotny powój, a wszak bez osłony
„Nie trwa tu słodki owoc. I cóż? ledwo wrócił,
„Ujrzał swój raj stracony, i zaraz porzucił!
„Dla czego? dla częściej sławy, której blask nie waży
„Jednego uśmiechnienia ukochanej twarzy.
„Gdybyś przynajmniej w los swój wierzyć miał powody;
„Lecz ledwo burza przeszła, już pewny pogody,
„Niepomny, jak to gorzko czas zgryzotą liczyć.
„Płochy — wydarł się szczęściu, co mógł odziedziczyć.“
Ah! dalej, prędzej! lekko przez chwasty i rowy
Sunie koń wyciągnięty, a brzękiem podkowy,
Hukiem pędu, błyszczącą postacią rycerza,
Ocknionego wieśniaka pierwszą myśl uderza;
„Ha! ha!“ — nim otarł oczy i serca mógł dowieść,
Znikł rycerz i zostawił o upiorach powieść.
I tak to leciał Wacław — szczęśliw, trwożny razem,
Śliczny, straszny — był wiernym śmiertelnych obrazem.

XV.

Do wrót wreszcie koń doparł swe piersi spienione,
I zarżał, nozdrza chłodząc, to w tę, to w tę stronę.
Lecz chociaż księżyc jasny, nie widać nikogo,
Ni giermek do strzemięcia szybko skoczy nogą.

„Musi być bardzo późno: niech śpią, trosk nie czując,
Tak myślał młody Wacław konia przywiązując;
I z tą żywą pociechą, w której serce tonie,
Kiedy już bić ma wkrótce przy kochaném łonie,
I z tém świetném wejrzeniem, gdzie kona obawa,
Jednym radości skokiem u drzwi domu stawia.
Ah! ileż wdzięków, pieszczot jemu się obudzi!
Chwila jeszcze, a będzie szczęśliwszym od ludzi,
Od Aniołów! Zastukał — raz — drugi — i trzeci;
Trzy razy czujne echo z odpowiedzią leci,
I milczy: to jedyny znak ruchu lub życia,
Który tam drzemiąc czekał rycerza przybycia;
Ni chodu spiesznych kroków, zgiełku w nagłej mowie,
Ni światła w ciemnej, cichej, zamkniętej budowie,
Oh! jakże sen ich twardy, Niecierpliwość radzi,
Że szabla jednem cięciem przez próg przeprowadzi;
Lecz tę gwałtowną radę musiał on odrzucić:
Wnosić JÉJ niespokojność, żeby swoją skrócić?
Raczej niech w jego piersiach burz kończy się droga,
Byleby nigdy do niej nie doszła ich trwoga!
Jeszcze stukał, lecz słabiej, bo już w serca niebie
Rosło anielskie czucie, zapomnienie siebie;
I wolnym odszedł krokiem, nieraz wpośród ciszy
Zatrzymując się nagle, czy kogo niesłyszysz?
Spojrzał na księżyc w pełni, co jego postawę
W czarnych, olbrzymich krztałtach obalał na trawę.
Jak słodko i spokojnie bieg swój jasny toczy!
Ah! bo na swoje słońce ma zwrócone oczy!

Uchylił rycerz głowę: widzieć mu się marzy,
Jakby szyderski uśmiech w téj pyzatej twarzy.
I tak dumając smutnie, lub nie myśląc wcale,
W odmęcie sprzecznych uczuć, gdzie trwogi i żale,
Miłość, wspomnienia, szczęście, wszystko w zawieszeniu,
Błąkał się w koło domu śpiącego w milczeniu,
Co cichy, głuchy, martwy, i skarb drogi mieści,
Jak te zakłète zamki Arabskich powieści.
Lecz cóż to? już w zupełnej nadziei utracie
Postrzega ruch nareszcie w sypialnej komnacie:
Widzi otwarte okno, i lekka zasłona,
Co tam nocnym tułaczom na straż rozwieszona,
Z nieśmiałego wietrzyka płochliwie urąga,
Wypycha go z pokoju, i znowu go wciąga.
O! jaki luby ogień zbiegł rycerza żyły!
A wszystkie blaski szczęścia do lic pospieszyły.
Jak tu szalonym myślom stawić się oporem?
Trzeba być cnót najczystszych, lub kamieni wzorem.
Nie był jednym, ni drugim: umiał walczyć w boju,
Kochać, być wiernym, wdzięcznym; już Wacław w pokoju.

XVI.

Na nierosłaném łożu, w żałobnej odzieży,
Rozciągnięta niewiasta uśpiona tam leży.
Ale jéj snu twardego Wygoda nie pieści.
I jakby nagłą przerwą gwałtownych boleści,

Jeszcze w jęj sinęj twarzy cierpienie zostało,
Choć spokojne, bez ruchu, wyprężone ciało;
I długie jęj warkoczce spadały w nieładzie,
Nie w takim, w jaki Miłość śpiące wdzięki kładzie;
I smutnie się nadeła wysileniem tłusta,
Jakby się skarżyć chciała, tylko że jęj usta
Ścięte silniejszą władzą; a promień księżycy,
Co tę posępną postać migając oświeca,
Tak dziką tklivość rzucał w przymrużone oczy,
Z jaką mizg upiornicy, gdy kochanka zoczy.
To młoda śliczna Marja! Rycerz przed nią stoi,
Przyniósł jęj ziemskie szczęścia, i czegoż się boi?
To młoda śliczna Marja? oh! jakże zmieniona!
Czy już się będzie robak tulić do jęj łona?
Ale nie długo Wacław stał tam w podziwieniu,
Prędko się w nim duch oparł swego ciała drzeniu:
Schyla się na jęj lica, usta do ust łączy,
I słodycz swego serca rozkosznie w nie sączy.
„O! moja droga Marjo! ty zimna i niema,
„A dla nas już jest szczęście“ — echo mówi: „niema“
„Marjo! kochano Marjo! w boju mnie widzieli,
„Ojciec mnie z tobą spoi“ — echo mówi: „dzieli“.
Znowu ją pieści, cuci z miłością stroskaną,
Coby się pocieszyła choć westchnień zamianą;
Jęj głowa nagłym rzutem na piersi mu spada,
I w uderzonej zbroi jękiem opowiada,
Krzyczał — szukał ratunku — pusty dom przebiegał —
Tylko się marny zapęd po ścianach rozlegał!

Wraca — znalazł nadzieję . . . może czy nie zetrze
Mroku z jej czarnych oczu otwarte powietrze?
Lecz gdy silne rycerza unosi ją ramie,
W jakież okropne ruchy jej kibić się łamie!
Nie z tą giętką lotnością, co w dół nie przyciska,
Lecz w całym opuszczeniu świeżego zwaliska;
Zwieszzone ręce, głowa, zdętwiałe już nogi,
Czynią z niej przedmiot straszny, jemu jeszcze drogi.
„Oh! wody! wody!“ wołał z przeraźliwym wrzaskiem,
Ogromne drzwi budynku wywalając z trzaskiem.

XVII.

W szarej chwastów zarośli lekki ruch się zdaje,
Rozsuwają się liście i czapka wystaje,
I głowa się podnosi, i stanęło ciało,
Co tam w cichém czekaniu ukryte siedziało,
Młodego pacholęcia, co na świat płakało. —
I wzrokiem rozczulonym patrzy się w rycerza,
Co jego zwiędłą młodość podziwieniem zmierza;
Czy strachu, czy uroku schowane tam siłą,
Nie wiem; wyszło z gęstwiny i tak przemówiło:
„Niech rycerz drzącem sercem nie pragnie tak wody,
„Bo w niej zgasnął dopiero blask ziemskiej urody
„To te obrzydłe maski w swój zdradnej zabawie,
„Śliczne łono tej pani zatopiły w stawie;
„A kto raz ludzi porzuci,
„Nigdy już do nich nie wróci.

„Wszyscy domowi — szlachta, panny, giermki, draby,
„Pobiegli w pogoń, drudzy po księży i baby;
„I dom teraz w cichości; lecz nim zorza znijdzie,
„Mrucząc, kadząc, śpiewając służba Śmierci przyjdzie,

„A kto im raz się dostanie,

„Zawsze już u nich zostanie.

„Zawsze — oh! smutne brzmienie, kiedy srogim losem

„Ciężkiej straty i żalu stanie się odgłosem,

„W miłości i przyjaźni, w każdej życia dobie,

„Tak często powtarzane, a prawdziwe — w grobie;

„Bo kto raz ludzi porzuci,

„Nigdy już do nich nie wróci.“

I podniósłszy na palcach swoją małą postać,

Żeby się rycerzowi do ucha mógł dostać,

Szeptał, szeptał swą powieść; a w twarzy rycerza

Czarna, czarniejsza chmura coraz się rozszerza;

I znów nagle rozpaczą zaciemnione lica

Zapał gniewu i wzgardy jak piorun oświeca:

Aż w nim powstała wreszcie ta ponurość dzika,

Co patrzy w jeden przedmiot — w trumnę przeciwnika,

Kruszy najświętsze węzły w ogniu swego piekła,

Gdy i w najbliższym sercu trucizny docieka!

Aż w nim powstała wreszcie ta Chciwość szalona

Krwi, krzyku, dzwonów — płomień popsutego łona,

Co domowej niezgody rozpala pochodnię,

I w własnym swoim gnieździe zbrodnią karze zbrodnie!

Lecz jeśli takie były najwyższe w nim męki,

Zgon najdroższego szczęścia z błogosławieństw ręki;

O! jak bezecnej Zemście, co nim słusznie miota.
Towarzyszy okropnie Rozpacz i Zgryzota!
A wszystkie razem bole w osłupiałém oku
Łączy myśl przeraźliwa — Niezmiennosc Wyroku!
Mniej straszna w swém nieszczęściu, od węzów jedzona
Wzór najsroższych męczarni — postać Laokona.

XVIII.

I tak Wacław od razu wszystko w świetle traci,
Szczęście, cnotę, szacunek dla ludzi swych braci;
I nigdy już swój lubiej ze snu nie obudzi,
Co mu miała zastąpić wszystkie cnoty ludzi,
Którój blask czysty, słodki, anielskim promieniem
Fałsz przyjaźni, serc próżność, powłóczył złudzeniem;
Jakże zniknienie Marji ciemną ją uczyni!
I tak Wacław pozostał samotny w pustyni:
Długo on przy jej zwłokach stał w niemój żałobie,
Jakby z kamienia posąg przy kochanki grobie;
Bo zgroza srogiój złości i widok jej skutku
Wygnały nawet z duszy rozczulenie smutku:
Tylko ten gorzki pomysł do żalu go wrócił,
„Ah! czemu ufał ludziom, czemu ją porzucił!“
I gdy w jej zbrzękłej twarzy widzieć mu się zdało,
Co tam w walkach ze Śmiercią mimo niej zmartwiało —
Pierwszy, ostatni wyrzut, i to z tym wyrazem,
Że ich szczęście i siebie zagubił z nią razem;

Wtedy dopiero serce odzyskało bicie,
Twarz ukrył w obie ręce — i płakał jak dziecię!
Lecz nie długo: już serce zdradzone, pokłute,
Zepsuło się w truciznie przez jedną minutę;
Już duszy wprzód wyniosłej zatknięte to godło,
Co wygnańców swych myśli w sromotę zawiodło:
Czyż ten bujny młodzieniec już ziemi ohyda?
Ah! pytaj raczej — na co dobroć się tu przyda,
Gdzie, co czułe, szlachetne, tylko chwilę świeci,
Gdzie zgon starych rodziców korzyścią ich dzieci,
Gdzie chlubna miłość bliźnich w udanej tklivości
Cieszy się ich niedola lub szczęścia zazdrości,
Gdzie rola wzniosłych chęci zawsze się nie uda,
Bo w śliczny welon Cnoty stroi się Obłuda,
Gdzie tylko jedna słodycz, — w wzajemnym zachwycie
Serc wiernych, niezgadnionych zanurzyć swe życie.

XIX.

W tym ciemnym ludzkich uczuć i posępnym lesie
Dla jednych czas powoli odrętwienie niesie;
Gubią listek po listku, aż w późnej jesieni,
Jak mszyste, głuche dęby, stoją obnażeni.
Drugim, skwarem ich słońca zbite nawałnice,
Rzuca z trzaskiem i grzmotem dzikie tajemnice;
I znów błysnie pogoda, i czasem się zdaje,
Że weselsza zieloność po burzy powstaje:

Lecz kto się bliżej wpatrzy, choć pozór jednaki,
Dostrzeże — czarne wewnątrz spalenizny znaki;
A gdy w rażoném drzewie wicher rdzeń rozżarzy,
Któż pożar od piorunu gasić się odważy?
I tak bujna krzewina zniszczenie rozniesie
W tym ciemnym ludzkich uczuć i posępnym lesie.
Co Wacław sobie w życiu może obiecywać?
Trudnoby wytłómaczyć, i straszno zgadywać
Na jego sercu ciemna, skrwawiona zasłona,
Dosyć — na cóż ją zdzierać z ranionego łona?
Wszystko on już postradał, i chyba to zyska.
Że nie czas, ale płomień, zniszczy w nim zwałiska.
To w krótkim zamyśleniu korząc się przed Bogiem,
Z swym małym przyjacielem czyli nowym wrogiem,
Umarłe ciało nazad wnieśli do komnaty;
A księżyc mglistym oczom pożyczył oświaty.
Tam Wacław raz ostatni posłanie jéjmości,
I czulém wyręceniem bezwładnej Skromności,
Jéj członki, włosy, szaty, w porządek układa,
Bo ciekawa złośliwość i w śmierci ogada,
Wtedy — z tęskném wéjrzeniem na jéj martwe lica,
W którém żalność rozstania, lecz i obietnica
Prędkiego połączenia, z uwagą rozpaczy,
Co każdy rys nieszczęścia w pamięć sobie znaczy —
Wtedy dobywszy miecza, co świsnął, a w cięciu
Srogim będzie i w trupa zostanie ujęciu,
Wyszedł — i zaraz z twarzy wszelkie znikły bole;
Skoczył na koń — a za nim usiadło pachole.

Lecz któż był ten człek mały z okiem zapłakaném?
Czy duchem jego losu? Aniołem? Szatanem?
Czy szczerze drażni męki, lub smutek z nim dzieli?
Nie wiem; objął rycerza, i w cwał polecieli.

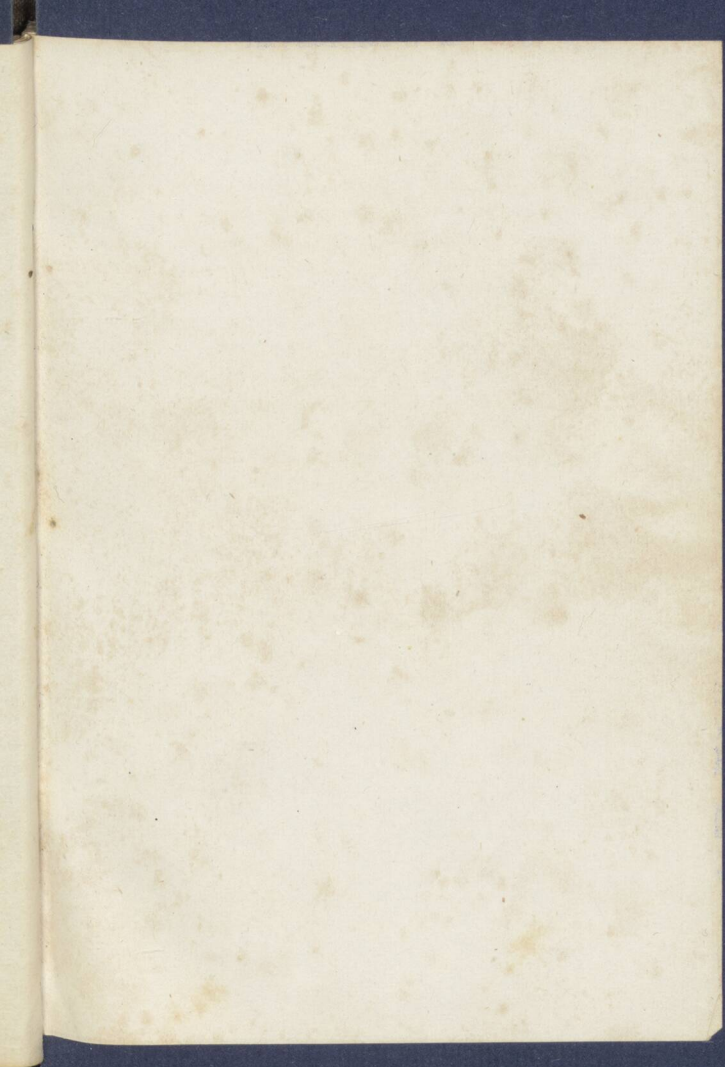
XX.

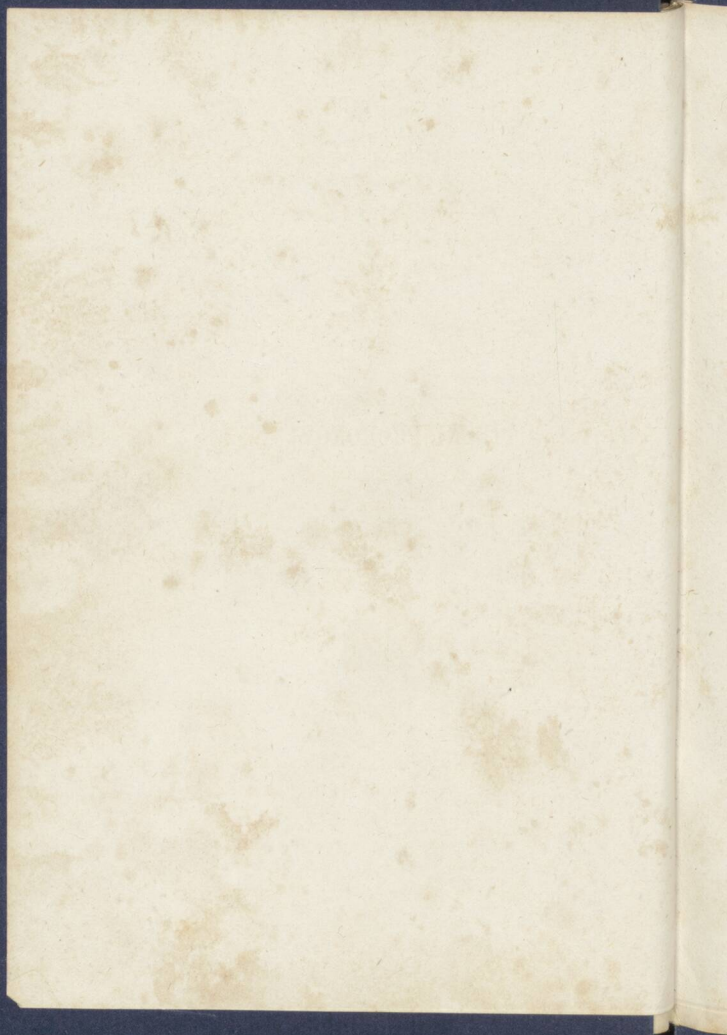
Na ukraińskiej cerkwi błyszczą się trzy wieże;
A ukraińskie baby szepcą swe pacierze;
Biją we dzwony żaki, i zysk sobie krzeszą;
Ludzie dobrzy – czy chrzciny, czy to pogrzeb, spieszą,
Wewnątrz kiry, katafalk i trumna, a w rzędy
Blado się palą świece: czarno, straszno wszędy.
Czyjaż tam wzniosła postać wśród ciekawych grona
Leży długim i martwym krzyżem rozścielona?
Czyjaż tam pierś rycerska w kurzawie się wala?
I z tą cichą pokorą, co się nie użala,
Choć i najsroższych kaźni ciężkie dźwiga brzemię,
W swój niemój pobożności jakby wbita w ziemię?
Blady — jak łysk od gromnic, co mu na twarz wbiega.
Smutny, jak śpiew umarłych, co się tam rozlega,
Z poziomego zniżenia, gdzie go wiara tłoczy,
Jak robak świętojański świecą jego oczy.
Ah! to Pana Miecznika siwa, nędzna głowa;
Niedawno żonę stracił, teraz córę chowa;
Na to huśtał kołyskę, by w trumnie uśpili,
Na to jój woził lamę, żeby całun szyli.

I dziwno — tak nieczułym zdał się na pogrzebie,
Jakby już dusza jego była z córką w niebie.
I takim był i potem: ni żalu, ni skargi
Nikomui nie zwierzyły wypłowie wargi;
Ni łez w hardém spojrzeniu nie było oznaki;
Mniej z ludźmi, więcej z Bogiem, a z resztą — jednaki.
Codzień on w jednéj porze chodził pokryjomu;
Lecz nim wydano hasła, powracał do domu.
Raz — i północ minęła, a Miecznik nie wraca;
I gdy patrząca czujność nadzieję utracą,
Gdy dziko grają trąby, a ze snu, jak z procy,
Rzucili się rycerze k'zemście lub pomocy,
Znaleźli go w cmentarzu. Przy córki i żony
Przyległych dwóch mogiłach klęczał nachylony:
Taż sama w ustach słodycz, a w czole sędziwość,
Ta sama bladość twarzy, ale oczu żywość,
Czapka, wąsy, dla Polski straszdyłło na wrogi,
I żupan ten sam czarny; tylko że gdy trwogi
Odgłos z trąby wojennéj dochodzi daleki,
Nie pcrwał się do korda: już spał — spał na wieki!
I cicho, gdzie trzy mogił w posępnej drużynie;
I pusto, smutno, tęskno — w bujnej Ukrainie.



BG0892679





400, -

8382 / 21



Biblioteka Uniwersytecka
w Poznaniu

1949290 I



Biblioteka Uniwersytecka
w Poznaniu

1949294 I